

Parzych, Czesław

Wieś Durlasy we wspomnieniach : fragmenty większej całości

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 8, 228-241

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WIEŚ DURLASY WE WSPOMNIENIACH

Fragmety większej całości

1. Mój dom. Rodzina.

Mój dom. Dobry, stary mój dom. Wygodny, obszerny, z dużą i małą izbą, z alkierzem, sienią i komorą (gdzie gromadzono zapasy), ze strychem pełnym tajemnic, ze słomną strzechą i żurawiem stojącym na podwórku, pochylonym nad głęboką studnią. Kochałem w nim każdy kąt. Tyle zostało w nim wspomnień, tyle przeżyć, wyszeptanych modlitw... Pełen był własnych zapachów i otaczającej go przestrzeni. Mój stary, dobry dom. Dom mego dzieciństwa, który dawno już nie istnieje... Budował go w 1841 r. pradziad Adam Parzych już na nowym siedlisku po komasacji gruntów. Jego syn, Wiktor, miał wówczas trzy lata. Ja też miałem trzy lata, gdy dom ten obchodził stulecie swej wiernej służby mojej rodzinie – kilku jej pokoleniom. Miał 123 lata (tyle, ile trwała niewola naszego narodu), gdy tato mój zwolnił go wreszcie, stareńkiego, z obowiązku służby, budując nowy, również z drzewa na fundamencie i eternitem płaskim pokryty. Odszedł więc nasz stary dobry dom, tak, jak odchodzą starzy ludzie koleinami swego losu. Dla mnie jednak wciąż istnieje, cały ciepły dobrocią matki, bezpieczny obecnością ojca. Jego ściany z grubych żywicznych bali sosonowych, ciosanych toporem, spękane od słońca, wiatru i deszczu, wciąż mi pachną rozgrzaną południowym żarem żywicą, wyciekającą z sęków złocistymi kropelkami. Każda jego belka przesiąknięta była oddechem kilku pokoleń. W jego izbach czuję też zapach wiosennej kaliny i akacji, których gałązki, osypane kwiatem, przynosiła mama z gajku nad sadzawką na bukiety, ustawiane na głównym stole przed figurą Matki Boskiej.

Stał ten nasz dobry stary dom na podwalinach solidnych, ustawionych na potężnych głazach-kamieniach, rozstawionych na wszystkich czterech jego węglach. Takiż potężny płaski kamień leżał przed głównym wejściem w charakterze schodka, który dziwnym ciepłem dotykał moich dziecięcych, bosych stóp. To był w ogóle żywy kamień.

Ciepła jego dotyku doznawał każdy, kto stawał na nim bosą stopą. Przemieniało się ono w dziwną siłę, która potrafiła zmóc nawet chorobę i przywrócić radość.

Cały dom osłaniał, również jak on stary, olbrzymi grab. Jego wysmukły, wysoki aż po błękit nieba pień zdobiła w górze rozłożysta korona. Żyłaste korzenie głęboko wrastały w ziemię. Wokół niego, wzdłuż płota oddzielającego sad od kwiatowo-warzywnego ogródka mamy, rosło wiele śliw „półszczepek”. W sadzie, pośród starych jabłoni, stały rozstawione ule z pszczelim brzęczeniem i miodnym zapachem. Pędy chmielu pięły się po płocie i tyczkach, po gałęziach wiśni. Krzew rozłożysty głogu, krzewy czarnej i czerwonej porzeczki oraz gąszcz malin wzdłuż ogrodzenia, dopełniały reszty.

Dziś, z odległości lat i doświadczeń, wspominam swój dom rodzinny tak, jakbym myślał o rozslonecznionym, ciepłym dniu wiosennym. I uświadamiam sobie z radością, że ten mój stary dobry dom trwa we mnie nie zmieniony od czasu, gdy przed laty wielu, w grudniowy poranek, przyjął mnie – małą dziewczynką kruszynką – życzliwie w swe prog. A radość tym większa, że po progach tych stąpał mój prapradziad, dziad i ojciec – tak, jak stąpali po tych samych skibach ziemi, zagonach i miedzach, po których ja stąpałem, gdzie głębokie źródła naszego rodzinnego trwania. U tych źródeł, w atmosferze domu rodzinnego, ukształtowało się moje dzieciństwo. A była to atmosfera pełna tropów i szacunku dla tradycji narodowej i rodzinnej właśnie. Poznawałem je na przykładzie dziejów ludzi i miejsc najbliższych. Postać Stacha Konwy, o którym opowiadano legendy w długie zimowe wieczory – to okres potopu szwedzkiego. Mauzoleum na ostrołęckich błoniach – obok którego przejeżdżało się jadąc furmanką na targ czy do kościoła – to znak o polskich bohaterach z czasu Wielkiego Listopada 1830/31. Matka Boska Durlaska (mająca swą ciekawą historię), stojąca w drewnianej kapliczce w lesie na rozstaju dróg tuż za wioską – to Powstanie Styczniowe. Pobity do utraty zmysłów przez bolszewików prapradziad Wiktor – to rok 1920. Tajemnicze dla mnie – wówczas dziecka małego zaledwie – nocne taty „zniknięcia” i mamy modlitwy przed obrazem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, długie aż do jego powrotu – to czas okupacji. Aresztowanie taty (razem z innymi mieszkańcami wioski) – „zapłutego reakcjonisty” przez UB i „kułackie” upokorzenia – to wreszcie czas powojenny.

Tak historia, poprzez dzieje ludzi i miejsc najbliższych, wplatała się w mój dziecięcy świat, w życie rodziny. A rodzina, obok ziemi, była najważniejsza, obyczaj zaś domowy pieczołowicie przechowywany. Panował też zwyczaj troskliwego pamiętania o domownikach, o najbliższych. Takich mam ich wciąż przy sobie, w swojej wdzięcznej pamięci:

– Ojciec. Wstawał zawsze rano, cichutko, by nas, dzieci, za wcześnie nie zbudzić. Zimą rozpałał ogień w piecyku aby nagrzać przed naszym wstawaniem wystudzone przez noc mieszkanie. A gdy po całodziennym trudzie siadał i wypoczywał, bieглиśmy do niego, sadowiąc się mu na kolana. Był zawsze serdeczny i tkliwy, pełen dobroci i troski. Przy nim czuliśmy się bezpieczni. Opowiadaliśmy mu nasze dziecięce przygody z całego dnia, on tulił nas do siebie, czule ogarniał swymi ciężkimi, spracowanymi rękami. I cieszył się, że jesteśmy z nim, przeglądał się w naszych szczerych, dziecięcych oczach. Z jego twarzy znikano wtedy zmęczenie i pojawiał się ciepły, serdeczny uśmiech. Uczył nas miłości do otaczającego świata i do ludzi. Poza nami, dziećmi, i naszą mamą, miał jeszcze jedną miłość – ziemię. Służył jej wiele lat, od maleńkiego dziecka do późnych lat życia. Orał, siał i kosił, pot swój znojny jej ofiarowywał i ciężką pracę, w niedzielne popołudnia miedzami się przechadzał i radował, gdy za to jego oddanie odwdzięczała mu się i plony rodziła, zbożem jak uśmiechem pięknie zakwitała. Czuł wtedy jej pulsowanie, jak go ogarnia, wierna mu i uległa. Szedł tak pośród zbóż, cały rozradowany, w sobie rozśpiewany i z niebem rozmawiał..

– Matka. Wykarmiła nas piersią: mnie, najstarszego, moich braci Janka i Staszka oraz siostry Alinę i Henię. Śpiewała nam nad kołyską, nocy niedosypiała czuwając, zawsze opiekuńcza, serdeczna, troskliwa, najlepsza. To od niej pierwszy znak krzyża nad czołem, pierwsza modlitwa i „Kto ty jesteś? – Polak mały...” Od niej też ciepło i bezpieczna sytość, gdyż zawsze dbała – nawet w najtrudniejszych czasach okupacji a potem tuż po wojnie – by nasze dziecięce żołądki nie były puste, byśmy nie zaznali głodu. A były to przecież ciężkie czasy i zdarzało się niejednokrotnie, że aby nas nakarmić, sama była głodna. To dzięki niej dom nas zawsze pełen był rodzinnego ciepła, przytulności i szczęścia, mimo tylu przeciwności losu.

– Dziadziuś Józef Wiktorek (dziadziusia Józefa Parzycha nie pamiętam, odszedł, zanim ja przyszedłem) nosił zawsze długie, sumias-

te wąsy, gęste i czarne, z wiekiem posiwiałe jak i krzaczaste brwi nad ciągle śmiejącymi się oczami. Był dla nas, dzieci, nieprzebraną skarbnicą niekończących się gawęd, legend, baśni, opowieści. Razem z braćmi siadaliśmy mu na kolana a on podkręcał sumiastego wąsa i zaczynał opowiadać o polowaniach (był zapalonym i zawołanym myśliwym, przed wojną posiadał własną fuzję), o tajemniczych, pełnych przygód wydarzeniach, związanych z naszą historią, naszą ziemią, wioską i rodziną. A bąbał cudownie! Przepięknie potrafił prowadzić nas, małych chłopców, przez najciekawsze, zapierające dech w naszych dziecięcych piersiach, przygody. I gdy dziadzius tak bąbał i bąbał, siedząc z nami przy nagrzanym piecu, nasze wyobraźnie zaludniały się wspaniałymi rycerzami, kurpiowskimi bohaterami, duchami tych, co dawno już odeszli, to znów biegły przed stadem zgłodniałych wilków, atakujących księżycową nocą pędzące, zagubione gdzieś w leśnej głuszy sanie. A za oknem hulał zimny jesienny wiatr, jęczał w kominie jak dusza pokutująca, potęgując niesamowitość i grozę dziadkowych bąbań. Ci wszyscy bohaterowie wypełniali później nasze sny, zapadali w najgłębsze pokłady pamięci.

Miał też dziadek Józek duże poważanie w społeczności wiejskiej. Stąd często przez młodych chłopców proszony był na raja (swatającego młode pary).

– Babcia Różia Wiktorkowa, była zawołaną śpiewaczką. Znała wiele pieśni i piosenek „leśnych” oraz przyśpiewek ludowych. Śpiewała przepięknym białym głosem na weselach, przyjęciach rodzinnych i innych uroczystościach. Tak „obśpiewała” nasze wesele, ku wielkiej radości i rozweseleniu wszystkich weselników.

Babcia Różia i dziadzius Józef mieli dwie córki: Stasię – moją mamę i Bronię oraz sześciu synów: Józefa – mojego chrzestnego ojca (żołnierz AK), Adama, Konstantego, Franciszka, Stanisława i Czesława.

– Babcia Władzia Parzychowa, cieszyła się szacunkiem całej rodziny i mieszkańców wioski. Znała się na wielu rzeczach i tato, choć gospodarz nad gospodarze i nad całą wieś, liczył się z jej zdaniem i nieraz ją o radę prosił. Była mistrzynią w rozpoznawaniu wszystkich ziół, rosnących na kurpiowskiej ziemi. Znała czas ich zbioru, sposoby suszenia i stosowania na różne dolegliwości. Z roślin dziko rosnących (komosa, pokrzywa, szczaw itp.) potrafiła przyrządzać smaczne, wiosenne (na przednówku) potrawy o dużych walorach smakowych

i odżywczych. Była też mistrzynią w wypiekaniu razowego chleba (o wielu różnych smakach) i sporządzaniu przeróżnych napoi z jagód jałowca, suchego razowego chleba, jaskoły (sok z brzozy), buraków, dzikich owoców. Odeszła w wieku 96 lat, pogodna, uśmiechająca się jakby z ulgą, że oto dopełnił się czas jej borykania się z losem, z wieloma jego przeciwnościami, dźwigania samotnie krzyża przez to długie życie. Miała pięć siostr i dwóch braci: Władysław – oficer w czasie I wojny światowej, zginął bez wieści w 1920 r. i Józef – w 1945 r. wywieziony przez NKWD w głąb Rosji, również zaginął bez wieści jak i trzej jego sąsiedzi razem z nim wywiezieni.

– Dwie kochane ciocie: Jasia – zawsze dobrotliwa, serdeczna, przyjazna, przejęła po babci Władzi znajomość ziół i sposoby ich stosowania oraz Wikcia – moja matka chrzestna, szczuplutka, ruchliwa, ciągle mająca coś do zrobienia, dopilnowania, załatwiania. Jej oczy zawsze były pogodne, z wyrozumiałością patrzące na świat, na toczące się życie i na nasze dziecięce psoty i dokazywania.

– Pradziadka Wiktora Parzycha znam tylko z rodzinnych przekazów i wspomnień o nim najstarszych mieszkańców Durlas, przekazywanych w rozmowach mojemu tacie. Myślę, że trzeba o nim tu wspomnieć, jako że był najlepszym gospodarzem we wsi i okolicy, do pracy na roli miał dobre pociągowe konie oraz inne, piękne i szybkie ze specjalną uprzężą i wolantem wyłącznie tylko do wyjazdów do kościoła, z chrzcinami (miał 56 chrześniaków we wsi i okolicy), weselami (zeswatał wiele par), po księdza na kolędę i do chorych. W 1920 r. nakarmił i napoił bolszewickich żołnierzy, zgodnie z ich życzeniem, gdy przyszyli do jego domu, jako najlepszego gospodarza, by „charaszo pokuszał”, nie chciał jednak dla ich uciechy oddać im – już nakarmionym i podpitym – w ich ręce swej żony i zdradzić miejsca, gdzie się przed nimi ukryła. Zmaltretowany i zбитy przez nich do utraty zmysłów, nigdy już ich w pełni nie odzyskał. A gospodarstwo podupadało i szło w ruinę.

– Pradziadek Jan Gawrychowski (ojciec babci Władzi Parzychowej) to również postać godna wspomnienia, znana mi z przekazów rodzinnych. Wspominał go także Adam Wojciechowski z Wojciechowic, z którego ojcem, też Adamem, pracował. Pochodził ze Stanisławowa a majątek posiadał w Łęgu Starościńskim. Był, jak na tamte czasy, człowiekiem bardzo światłym, posiadającym stosowne wykształcenie. Przez wiele lat zasiadał w sądzie gminnym w Ostrołęce jako

ławnik. Pod nieobecność sędziego – właśnie Adama Wojciechowskiego – upoważniony był do prowadzenia bieżących spraw gminnych. Później nabył majątek w Filipkach koło Lachowa i tam przeniósł się z rodziną.

2. Rok w życiu wioski

Dzień dla mieszkańców Durlas rozpoczynał się z chwilą, gdy budziły się pierwsze brzaski, a kończył, gdy dawno pogasły po zachodzie słońca. Wypełniony był znoją, ciężką pracą na roli, niezbędną, by ta – piaszczysta – rodzic mogła kartofle i żyto, podstawowe rośliny, niezbędne do wiejskiego życia. Z perspektywy minionego czasu wydaje mi się, że tamto życie wsi, mimo ciężkiej pracy, było bardzo pogodne a mieszkańcy nawzajem sobie życzliwi, uśmiechnięci, radośni, skromni i pełni godności. Oczywiście, że w natłoku stale piętrzącej się pracy, w codziennej trudnej walce o byt, ten i ów czasem zaklął siarczyście aż kobyła tuliła uszy, a pies skomląc do budy uciekał, czasem żonę obrugał i dzieci, a nawet i na sąsiada warknął. W zasadzie jednak ludzie starali się żyć w zgodzie z boskimi przykazaniami. Chociaż do siedmiu grzechów głównych – przynajmniej do niektórych – byli nieco liberalni. Ale czy to pycha, gdy gospodarz lub gospodyni dumna była ze swych zwierząt dorodnych, pięknego łanu czy kolorowego kwiatami ogródka? Czy chciwością było pragnienie, by uczciwą pracą osiągnąć tyle, co sąsiad a daj Boże troszeczkę jeszcze więcej? A jeśli człowiek cały długi dzień, od brzasku do późnej nocy, własnymi rękami tę świętą ziemię przewracać musiał i utrudzony zwałił się z nóg i zasnął, czy to nieczystość? A obżarstwo? Mój dobry Boże! Okres powojenny zmuszał wielu, szczególnie dotkliwie na przednówku, by raczej niedojedzonym niż obżartym chodzić. I ciężko jeszcze pracować. A gdy czasem na chrzcinach, weselu czy innej gościnie trochę się popofolgowało sobie?

Przestrzeń wioski otaczał wokół las. Piękny durlaski bór. Ciszy i rytmu wiejskiego życia strzegły pilnie wiekowe wierzby, które sypały fosforyzującym próchnem i ciągle miały poczochrane wiatrem lby. Wieś bowiem miała swój własny rytm życia, wyznaczony porami roku i długością dni. Świat wypełniony był znanymi obrazami, przepełniony zapachami: innymi wiosną, innymi latem, jesienią czy zimą.

Wiosna, w moich wspomnieniach, w rytmie życia wioski, łączy się nierozzerwalnie z Wielkanocą, poprzedzaną siedmiodniowym po-

stem. Ostatni jego tydzień, rozpoczynający się po niedzieli Kwietnej czyli Palmowej – to Wielki Tydzień, przeznaczony na robienie świątecznych (wiosennych) porządków. Bielono mieszkania, czyszczono i szorowano, prano i sprzątano, strojono izby i przyrządzano świąteczne potrawy. Najważniejszym dniem Wielkiego Tygodnia był dzień Męki Pańskiej – Wielki Piątek. Obowiązywał wszystkich ścisły post. Głównym akcentem w tym dniu była Droga Krzyżowa – nasze wiejskie przeżywanie Golgoty i Ukrzyżowania, misterium męki i cierpienia, pokory i umiejętności godzenia się z Bożymi wyrokami, dźwiganie własnego krzyża, pokonywanie własnych słabości, gromadzenia sił do przewycięzania zwątpień, zubożenia, nieprawości. Oto, gdy nastawał wieczór, wszyscy, którzy mogli wziąć udział w tym misterium, gromadzili się pod krzyżem na końcu wioski. Zapalano latarki, świece i łuczywa (tych było najwięcej, one tworzyły urokliwość chwili), przygotowywane przez chłopców z żywicznych drzazg sosnowych i świerkowych. Przy ich blasku szła procesja przez wieś, śpiewając postne pieśni. Przy każdej figurze zatrzymywano się na krótką modlitwę. Zakończenie Drogi Krzyżowej odbywało się w lesie na rozstaju dróg, przy kapliczce z figurą Matki Boskiej Durlaskiej. Tam, przy ognisku, mieszkańcy Durlas i obok położonych wiosek (Gnaty, Bronki, Jeglijny, Przewrotna Góra, kolonia Białobieli) śpiewali „Gorzkie Żale”. Potem jeszcze kilka pieśni postnych i na zakończenie „Wszystkie nasze dzienne sprawy...” Przed rozejściem się do domów oddawano jeszcze pokłon Pani Durlaskiej, prosząc ją o opiekę i wsparcie (figura ta ma swą długą, sięgającą w czas powstania stycziowego, ciekawą i piękną historię).

Tak kończył się Wielki Post i nadchodził radosny czas świąt Wielkanocnych. Miały one w sobie zawsze wiosnę, odradzanie się życia i życie odrodzone. Jakież cudowne złączenie symbolu Chrystusowego Zmartwychwstania z odradzającą się naturą, przejście z umartwień i rekolekcji wielkopostnych, pokuty i bolesnej żaloby kościołów do oczyszczenia, radości, do wesołego Alleluja! Ludzie uprząkali stare zimowe śmieci, wymiatali ze swych mieszkań wszystkie zimowe brudy, a ze swych serc wszystkie stare kwasy, waśnie, nieporozumienia i grzechy. A w pierwszy dzień Wielkanocy, do świtu, każdy, kto mógł, brał udział w rezurekcji. Gospodarze jechali furmankami, kawalerka rowerami, pozostali szli pieszo. Ostrołęckie rezurekcyjne dzwony oznajmiały radosną wieść Zmartwychwstania. Niosły ją

po mieście, po rozległej kurpiowskiej równinie... A zgromadzony w świątyni lud potężnym głosem intonował „Wesoły nam dziś dzień nastał, którego z nas każdy żądał, Alleluja, Alleluja!” I prostowały się spracowane ludzkie plecy, twarze napępniały blaskiem wiary, potężniejącej w sercach nadziei. Zmartwychwstań! Odrodzenie się każdego, oczyszczenie z szarości, z przygnębienia. A po nabożeństwie każdy, jak tylko mógł najszybciej, śpieszył do domu, starając się wyprzedzić innych. Ścigano się więc rowerami na przydrożnych ścieżkach, furmanki pędziły pełnym koni galopem aż piach gościńca, przesypując się przez drewniane szprychy kół „żelaznych” wówczas wozów, wzbijał się za nimi wysoko. Pierwszeństwo w tym pośpieszonym poworcie do domów miało przynieść dostatek w domu i gospodarstwie oraz obfite plony w polu.

Tak szedł przez wioskę powiew nowych sił i nowej krzepiącej nadziei. Ziemię całą i wszystkich ludzi ogarniała wiosenna radość życia. Niosło ją też dzikie ptactwo na skrzydłach, powracające do swych miejsc lęgowych oraz kwietniowy wiatr, pędzący przed sobą tabuny chmur, z których obfite deszcze splukiwały z ziemi resztki zimy. Nadchodził maj. Wieczory pełne były żabich koncertów i kukania kukulek na szczęście, pachniały wiosennym chłodem ciągnącym od pól, osypującą się bielą zakwitłych jabłoni. I śpiewaniem litanii loretańskiej do Matki Boskiej przed wiejskimi kapliczkami. Kobiety i mężczyźni, dziewczęta, chłopcy i dzieci – wszyscy pobożnie skupieni u stóp Orędowniczki, na tle nie wygasłych jeszcze blasków kończącego się dnia. Zaś majowe dni utrudzone były wywożeniem i rozrzucaniem po polu obornika, zaorywaniem go pod wiosenne zasiewy, wybieraniem z dołów i kopców kartofli, by móc je w ziemię posadzić, plon nowy otrzymać.

Jeszcze jednym, bardzo ważnym świętem religijnym okresu wiosennego w życiu naszej wioski, choć mniej uroczyste niż Wielkanoc obchodzonym, były święta Zesłania Ducha Świętego czyli Zielone Świątki. I chociaż władza ludowa zniosła drugi dzień tych świąt (poniedziałek), w naszej wiosce wszyscy dzień ten uroczyste świętowali i nadal świętują. Zgodnie z tradycją, na czas tych świąt majono młodą brzezina wszystkie domy i wejścia do nich, ganki i wrota. Gałązki brzozone zatykano też za obrazy. Świeży zapach delikatnej zieleni wypełniał wszystkie mieszkania i podwórka.

Tak mijał maj, zbliżały się sianokosy. Po wiosce niosło się echo klepanych kos. A kosiarze, jeden za drugim, we wspólnym zgodnym

rytmie szli stopa za stopą, krok za krokiem przez łąkę, pracowicie nad nią pochyleni, odkładający za sobą w pokosy soczystą zielen traw i kolorową różnorodność łąkowego kwiecia. W południe, gdy upał doskwierał, mieli chwilę wytchnienia i posiłku, przygotowanego dla nich przez ich żony i córki, przyniesionego w garczkach, koszykach i dwójakach.

Do grabienia siana szły całe rodziny: mężczyźni, kobiety i starsze dzieci do pomocy. Łąki, jeszcze wówczas nie zmeliorowane, w lata mokre były grząskie i trudno było wtedy wprowadzić na nie konie do ściągania siana, gdyż grzęzły w podmokłym gruncie. Na siłę ludzkich mięśni można było tylko liczyć, by siano zebrać i w stogi ułożyć. Dopiero zimą, gdy mrozy dobrze ścisnęły i łąki zamarzyły, rozpoczęto zwózkę siana saniami do zagród.

Na łąki jeździliśmy też na nocne wypasy koni. Zawsze zbierało się nas kilku chłopaków i udawaliśmy się tam konno wczesnym wieczorem. Zwierzęta szły w trawę, a my urządaliśmy sobie różne zabawy i hece, lub pod stogiem siana albo przy ognisku opowiadaliśmy sobie zasłyszane od starszych, najdziwniejsze, niesamowite historie, z pulsowania nocy wyławialiśmy wyczulonym słuchem westchnienia i głosy ani to ludzkie, ani to zwierzęce, chwytaliśmy wzrokiem nieuchwytnie cienie przemkające wzdłuż grobli, to znów snujące się po łąkach. Obok nas pasły się konie, parskwały z zadowolenia, a nad łąkami unosiły się mleczno-siwe mgły. Z tych mgieł, z księżycowej poświaty, wynurzały się stogi, jakby olbrzymy jakieś z otchłannych topieli albo pielgrzymi zastygli w chwili odpoczynku lub zbłąkane dusze pokutujące, snujące się po rozległej przestrzeni łąk, poszukujące celu swego przeznaczenia. Ten tajemniczy, sycony niesamowitością nocny pejzaż rozniecał naszą chłopięcą wyobraźnię i pozostawiał pełne emocji, niezatarte wrażenia. Przeżywaliśmy je głęboko. Śpiewaliśmy też różne znane nam piosenki i pieśni, dla dodania sobie animuszu i odwagi. Śpiewanie było zresztą powszechne w naszej wiosce. Podczas pracy, zabawy i wypoczynku. Wieś moja ciągle żyła z pieśnią. A śpiew jest odzwierciedleniem duszy ludzkiej, radości życia.

Śpiewali wszyscy. Czynili tak przy każdej okazji: dzieci na pastwisku, dorośli przy wszystkich pracach: kopaniu kartofli, docierkach lnu, dokrajkach (krojenie kapusty), doprządkach (przędzenie lnu), tkaniu na krosnach i innych. Od dawna też istniał zwyczaj powracania ze śpiewem z pola żniwiarzy. To był piękny zwyczaj. I śpiew ten był

chyba najpiękniejszy, jakby najbadziej uroczysty, dostojny. Aż jaśniał sierpniowy księżyc, urzeczony tym śpiewaniem. A gdy cichła jedna pieśń, już nową melodią niosła się druga, przez inną grupę żniwiarzy śpiewana. Często dobiegała do nich trzecia, czwarta i piąta. Czasem prześpiewywano się wzajemnie, czasem znów wracający z różnych pól żniwarze podchwytywali tę pierwszą pieśń i w ten sposób kilka żniwnych zespołów śpiewało jedną pieśń na kilka chóralnych głosów w różnych stronach pól. Były to całe sąsiedzko-wiejskie zespoły kosiarzy – mężczyzn, którzy w kilku lub kilkunastu kosili zboże na pokos, idąc całą grupą jeden za drugim i odbieraczek – kobiet, które szły za kośnikami (za każdym kośnikiem odbieraczka) i zbierając zboże, wiązały je w snopy.

Po skończonej pracy, wieczorem po rosie, te zespoły żniwiarzy szły właśnie ze śpiewem i „plonem” do domu gospodarza, który przed chatę wychodził by ich powitać, plon) garść kłosów dorodnych, chabrami i innym polnym kwieciem przyozdobionych (z rąk najpiękniejszej żniwiarki z podziękowaniem przyjąć, na wieczorną ucztę za stoły zaprosić. Często też dożynki (jak i dokopki, docierki czy inne zbiorowe prace wiejskie) kończyły się zabawą taneczną aż do białego rana. Była to bowiem wspólna praca sąsiedzka, za którą wynagrodzeniem był poczęstunek obfity, wspólna zabawa, tańce i śpiewy.¹

Tak pieśń żyła na codzień z mieszkańcami mojej wioski, łagodziła ich trud, niosła z sobą radość i ukojenie. Byli oni do niej serdecznie przywiązani. Śpiewali często i chętnie. A pieśni było wiele. Religijnych i tzw. leśnych. Wśród tych ostatnich ludowe i patriotyczne, o ojczyźnie i hetmanach, o Kościuszcze, powstaniach, legendach i ułanach. Były też pieśni partyzanckie. A także o kochaniu, o tym pięknym i szczęśliwym, i o tym tragicznym, o orle białym co przyleciał do młodego więźnia za kraty, o pracy i ludzkiej niedoli, o tragedii i śmierci. Wieś śpiewała o wszystkim co czuła, czym żyła, za czym tęskniła...

Z biegiem lat śpiew ten zaczął powoli zanikać. Do wsi wkraczała nowoczesność. Nie szła już piaszczystym gościńcem, bosą, ale żwirową drogą, a jeszcze później asfaltową szosą, zmechanizowana. Na pola wprowadzono kosiarki konne (obecnie już tylko kombajny spotkać tam można), koszone szybciej, sąsiedzkie zespoły żniwne stawały się coraz mniejsze. Zaprzestawano robienia zbiorowych dożynek: do zbioru zbóż przy pomocy maszyn wystarczały siły członków własnych rodzin (często dość licznych). Powoli więc, lecz skutecznie, zatracał się

ten przepiękny zwyczaj żniwnego śpiewania. A pastuszków zastąpiły pastuchy elektryczne. Tak milkł nie tylko śpiew ale zanikał cały autentyzm kurpiowskich wiosek, ich ludowość. Coraz mniej było tych, którzy z miłości do ojczyściej pieśni, przekazywanej dotąd z pokolenia na pokolenie, poświęcali jej swój czas i zdolności.

A pamiętam również, jak mieszkańcy mojej wioski (sąsiednich też) pięknie tańczyli! To było wprost cudowne przeżycie, gdy oglądało się ich w tańcu. Jeszcze dziś, gdy jestem na zabawie czy weselu w swojej wsi, gdy „prwdziwi” muzykanci, tacy z harmonią i bębniem (choć ze świecą trzeba dziś ich szukać) zagrają „dla oraczy” powolniaka, chodzonego, oberka, poleczkę, kujawiaka czy walczyka i gdy patrzę na tańczących „oraczy” – steranych już pracą i życiem starszych rolników, widzę, jak gwałtownej ulegają przemianie, jak młodnięją w tańcu, prostują się ich sylwetki, raptem stają się prężne, zwinne, jak poruszają się w tańcu z dostojnością, chłopską elegancją. Tego nie nauczy żaden choreograf. To trzeba mieć w sobie, czuć pulsowaniem własnej krwi. Ale taka już jest sztuka i kultura ludowa, autentyczna, nie podrabiana.

Okres lata był okresem nie tylko mozolnej pracy na wsi, ale też i najczęściej urządzanych zabaw wiejskich. Najbardziej huczne i tłumne były te, organizowane z okazji odpustów w Kadzidle – na świętego Piotra i Pawła i w Dąbrówce – na świętą Annę, że ograniczę się tylko do tych dwóch. Odpusty gromadziły tłumy ludzi z całej okolicy, a nawet z odległych miejscowości, młodzież zaś, przybyła na odpustowe uroczystości, chętnie korzystała z tanecznych zabaw (z „bufetem obficie zaopatrzonym”, w których obfitość stanowił głównie alkohol).

Zabawy w naszej wsi (w sąsiednich było tak samo) urządziła z zasady młodzież męska (kawalerzy). Gdy podjęto decyzję o zorganizowaniu takiej zabawy, rozpoczęto intensywne przygotowania, dzieląc pracę dla poszczególnych osób: jedni jeździli „godzić” (zamawiać) muzykantów, drudzy wyszukiwali chałupę do tańca i chodzili prosić gospodarza o jej wypożyczenie na czas tańców. Latem tańce urządzano na świeżym powietrzu, przy księżycu, na ogrodzonym i pięknie umajonym placyku, lecz chata zawsze była przygotowana na wypadek złej pogody. Inni jeszcze organizatorzy zabawy odpowiedzialni byli za zaopatrzenie: na takich składkowych zabawach bufetów nie było i ci, którzy je urządzali, na własny koszt podejmowali swych gości sutą kolacją dobrze zakrapianą. Zapraszano bowiem

kawalerów z sąsiednich i dalszych wiosek, u których bywano na podobnych zabawach, na które zjeżdżali również goście nie zaproszeni. Gościnność gospodarzy i dobry obyczaj nakazywały tych ostatnich ugościć tańcem, nie byli jednak zapraszani na kolację. Oczywiście, wszystkie takie zabawy wiejskie, co było omal że tradycją, nie odbywały się bez różnego rodzaju utarczek, potyczek, zaczepek i bójek, które czasami kończyły się tragicznie. Brała w nich udział kawalerka zważniona ze sobą z różnych wiosek, a organizatorzy – jak na gospodarzy przystało – czynili wszystko, by nie dopuścić do zatargów, chociaż nie zawsze im się to udawało.

Wieść o zabawie niosła się szybko po wsi i okolicy, docierała do kawalerki nawet do bardzo odległych wiosek (informacje z zasady przekazywano sobie nawzajem przed kościołem w niedzielę po sumie). Przez wszystkich przyjmowana była radośnie. Panny przygotowywały się do niej chyba jeszcze bardziej starannie niż organizatorzy: szyły na tę okazję nowe bluzki, sukienki, prały i prasowały. U fryzjerki w Ostrołęce robiły nowe, modne wówczas, ondulacje. A gdy nadszedł czas zabawy i gościńcem pobiegły zapraszające, grane przez muzykantów melodie – był to z zasady sobotni wieczór lub niedzielne popołudnie – cała wieś ożywiała się, prostowała swój pochylony przez cały tydzień nad pracą kark, przeżyła się i otrzępywała z codziennego kurzu i trosk, stroiła barwnie i kto żyw – od dzieci po starców – wystrojony szedł na potańcowanie, na popatrzenie i posłuchanie, na wspólną zabawę i rozrywkę. Była w tych zabawach swoista uroda, poezja i cała radość wiejskiego, nie lekkiego przecież życia, jego nadzieje i tęsknoty. A szerokim, piaszczystym jeszcze wówczas gościńcem, biegly boso rozradowane melodie, wpadały między opłatki, zapraszały – była to bowiem uroczystość całej społeczności wiejskiej, tak, jak były nimi wesela czy pogrzeby. Na drogę wychodziła wylegantowana kawalerka i sprowadzała na zabawę wyczekujące już, wystrojone panny. Bo był dobry chyba zwyczaj i tradycja, że panny musieli obowiązkowo sprowadzać na tańce organizatorzy zabawy, prosząc przy tym ich rodziców o pozwolenie, biorąc je niejako pod swą opiekę. Gdy organizatorzy zabawy po pannę z zaproszeniem nie przyszli, sama w żadnym wypadku tego nie uczyniła i na zabawie nie była. Nie byli też jej najbliżsi. Przypadki takie były bardzo rzadkie.

Raz w roku, nie pamiętam już, późną wiosną czy latem odbywało się też święcenie pól i plonów, by z łaski Bożej były obfite, przez

zdarzenia losowe nie zniszczone. Mieszkańcy zbierali się przy wiejskim krzyżu na początku wioski i szli procesyjnie polnymi drogami, z księdzem na czele, który kropił wodą święconą i błogosławił wszystkim polom i plonom. Otwarta przestrzeń pól stawała się wówczas dla nas, uczestników tego wydarzenia, świątynią, słońce – światłem ołtarza, śpiew skowronka i innego ptactwa (którego była wszelka obfitość) łączył się pięknie z chóralną naszą pieśnią, unoszoną ku niebu jak kadzidła dla Bożej chwały. Dziś dostrzegam w tej tradycji (już zaniechanej) przepiękną harmonię współlistnienia całej natury, bo człowiek jest przecież zaledwie jedną, maleńką jej cząsteczką.

Mijało lato. Nadchodził czas jesieni. Słońce stawało się coraz bardziej odległe, choć grzało jeszcze przyjaźnie. Dzieci szły do szkoły w Lelisie (w Durlasach jeszcze jej nie było), po rzyssach zrudziałych i stygnących kartofliskach snuły się poranne mgły, dymy ognisk i przedzie babiego lata. Sady stawały się ociężałe nadmiarem owoców, noce i poranki coraz chłodniejsze. Wieś przygotowywała się do nadciągającej nieuchronnie zimy. Orano i siano, sprzątano z pól jarzyny i warzywa. Dokopki kartofli i docierki lnu stwarzały kolejne okazje do wspólnej pracy, a po jej zakończeniu do wspólnej zabawy.

Powoli ziemia przekazywała rolnikom syty ciężar płodów. Pustoszały pola, milkły na nich pieśni, ptaki i świerszcze, mokry i zimny wiatr tułał się po miedzach, to znów rozpałał w zniczach ludzką pamięć, rzucał na groby bliższych i dalszych garście modlitw i zeschłych liści. W długie wieczory organizowano w domach dokrajki kapusty, doprzędki lnu, darcie pierza itp. zbiorowe prace, podczas których śpiewano, dokazywano, opowiadano o najprzeróżniejszych wydarzeniach, przygodach, duchach pokutujących i spotkaniach z nimi. Wszystkie te tzw. tłuki kończyły się obfitym poczęstunkiem.

Tak, niepostrzeżenie, zbliżał się czas zimy i świąt Bożego Narodzenia oraz nierozłącznej z nimi wigilii – najpiękniejszej nocy, w którą niebo łączy się z ziemią i otwierają bramy raju, nocy-cudu, bo oto dotknęto serca i „wśród nocnej ciszy” narodziła się Dobra Nowina.

W tę wigilijną noc cisza obejmowała ziemię i niebo. Wioskę naszą całą... Dziś przywołuję często w pamięci tamten czas, tamte dziecięcouchłopiące wigilie. Widzę wtedy wyraźnie nas wszystkich przy wigilijnym stole, ciężkie od pracy ręce taty delikatnie rozłamujące kruchą biel opłatka, błyszczące ognikami choinki, rozradowane oczy mamy. Jej cudownie piękne oczy! Czuję jej dobrą, ciepłą dłoń na swej twarzy,

serdeczny uścisk. I zaraz ogarniającą mnie bezpieczną troskliwość dłoni ojca...

Potem różne bywały te wigilijne wieczory i noce. Zawsze jednak myślą choć na moment przenosiłem się do rodzinnego domu i, jako dziecko, słuchałem miłego głosu mamy, śpiewającej mi kolędową kołysankę...

Dziś, zapisując te wspomnienia, również sięgam myślami głęboko aż do lat dzieciństwa, do rodzinnego domu, do mojej wsi Durlasy. Słyszę szum przepływającego czasu, z którym niepostrzeżenie ale i nieodwracalnie odplynęła cała cudowność chłopięcych dni. Czasu, w którym znajomi, przyjaciele i najbliżsi rozproszyli się po tym i po tamtym świecie. I choć już tak daleko one lata, powracają teraz w tych wspomnieniach, pełne zapachów i barw naszej wioski Durlasy, mojej rodziny i domu.

¹⁾ Dożynki takie sam jeszcze pamiętam. Tradycja taka istniała od dawna i wspominali ją najstarsi mieszkańcy wioski z czasów jeszcze sprzed I wojny światowej: Rozalia Wiktorowa, Józef Szewczyk, Józef Parzych, Władysława Parzych, jak i z okresu międzywojennego: Czesław Parzych, Czesław Szczubełek, Mieczysław Parzych z Olszewki (zam. w Ostrołęce), Walenty Marzewski, Aleksander Kopeć, Marianna Chrostek, Janina Parzych, Stanisława Parzych, Wiktoria Parzych.